

Tur Ubu w Mieście

Chciałoby się napisać w stylu dziennikarzy sportowych, że zapowiedź prezentacji w Nowym Targu "Ubu króla" z Narodowego Starego Teatru w Krakowie wywołała wielkie poruszenie. Niestety jest to nieprawda - pisze Dariusz Kosiński.



zdj. Magda Hueckel/mat. teatru

Na tydzień przed przedstawieniem zaplanowanym na wieczór 21 czerwca Miasto właściwie nie wiedziało o niczym. Dwa plakaty wiszące w okolicach Miejskiego Ośrodka Kultury nie przykuwały uwagi. Ktoś może zauważył niepokojąco dziwny obrazek z białym niedźwiedziem unoszącym się nad ziemią, ale gdzież im do wielkich krzykliwych banerów wywieszanych przy okazji gościnnych występów Teatru Bagatela, czy objazdowych kompanii warszawskich gwiazd serialowych, nie mówiąc już o kabaretach, zatrzymujących się w Nowym Targu w drodze do lub z Zakopanego.

Ten brak akcji informacyjnej powiększał mój niepokój o losy Ubu w mieście nad dwoma Dunajcami. Nie on był jednak jego głównym źródłem. Bardziej obawiałem się o przyjęcie prowokacyjnego i świadomie żenującego przedstawienia Jana Klaty. Miasto jest specyficzne, ma swoje gusta, swoją mądrość, swoje przyzwyczajenia i tradycje, a także swoje wyobrażenia o prawdziwym teatrze. A z wszystkim tym "Ubu" wydawał mi się w radykalnej niezgodzie.

Miasto. Na Podhalu zwykło się o Nowym Targu mówić właśnie tak. Jeszcze zanim się tu przeprowadziłem 26 lat temu, chyba przy jednej z pierwszych wizyt, poinstruowano mnie, że to jedyne miasto w Polsce, bo na Podhalu nie mówi się, że "jedziemy do Nowego Targu", ale - "jedziemy do Miasta". I wszyscy wiedzą, o co chodzi. Oczywiście Zakopane też ma prawa miejskie, ale miastowość "zimowej stolicy Polski" wywołuje nad Dunajcem tylko pełen

politowania uśmiech. Zakopane to przecież dziwacznie przez turystykę rozrośnięta osada, której populację tworzą ludzie przyjezdni, niezakorzeni, okazjonalni. Tymczasem Miasto było sobą od początku, od 650 lat, a ci, którzy je tworzyli przez stulecia, ustanowili prawdziwą sztafetę pokoleń - łańcuch mieszczańskich rodów, zwanych "pniokami". Poza nimi są tu jeszcze "krzoki" - mieszkający, ale nie od stuleci, tylko od jakichś śmiesznych kilkudziesięciu lat - od trzech czy dwóch pokoleń, oraz "ptoki" - takie jak ja - co to przyleciały skądś i nie wiadomo, czy za chwilę się gdzieś znowu nie wyniosą. Te dwie grupy pozostają w cieniu i pod wpływem "pnioków", przyjmują często ich sposób widzenia, ich styl, uczą się miasta na pamięć, wielu z ich przedstawicieli zostaje włączonych do pniockiej społeczności przez więzy rodzinne. W efekcie "miescony" są jak kłaczce, mało - jak darń, splątana korzeniami, nie do rozerwania i nie do zniszczenia. Nawet historyczne burze XX wieku i przemiany okresu Polski Ludowej nie rozerwały tej darni. Czasem tylko słychać narzekania, że gdyby nie bloki wybudowane na potrzeby "kombinatu" (Nowotarskich Zakładów Przemysłu Skórzanego "Podhale") i zasiedlone przez dużą grupę przybyszów z zewnątrz, to dalej znalazłyby się wszystkich i można by identyfikować ludzi w dawny sposób: mówiąc, z jakiego domu, przy jakiej ulicy wyszli. Narzekania są trochę na wyrost, bo Miasto nie do końca traktuje "bloki" jak własną część, a swoich nadal identyfikuje według adresów i układów pokrewieństwa.

Miasto jest rzecz jasna mieszczańskie. Gdy ktoś mi mówi, że w Polsce nie ma mieszczaństwa, tylko się uśmiecham. Jest go całkiem sporo, tylko nie w Warszawie i nawet nie w Krakowie, ale właśnie w Nowym Targu, albo (z innej gleby) - w wielkopolskich miastach i miasteczkach. Jest to przy tym mieszczaństwo tradycjonalistyczne, konserwatywne (choć ten konserwatyzm ma wiele odcieni), a przede wszystkim żyjące w kręgu bardzo silnie uwewnętrznionego imaginarium. Nie tu miejsce, by je opisywać, ale wierzcie mi - "Ubu" Klaty jest jego całkowitym zaprzeczeniem.

Oczywiście są też w Mieście ludzie zachowujący dystans do mieszczańskości. Wcale przy tym nie wywodzą się oni tylko z przylotnych "ptoków". "Darń" też ma swoich buntowników i kontestatorów, swoje alternatywne mikrospołeczności różniące się od reszty w sposób jawny i nie. Dla nich - myślałem idąc z synem w stronę "Sokoła", obok którego ustawiono ubiczny namiot - przedstawienie Klaty może stać się okazją do rozegrania swojej odmienności. Ale czy tak się stanie? A może "Ubu" zostanie odrzucony jako radykalne zaprzeczenie tej

"wysokiej kultury", która wiązana jest w Mieście z teatrem, a już na pewno z teatrem mającym w nazwie przymiotnik narodowy? Może wręcz ta wizyta okaże się klęską frekwencyjną i na widowni będzie nas zaledwie kilkoro?

Te ostatnie obawy szybko rozwił widok ludzi zmierzających w stronę namiotu i stojących przed nim. Nie - sami nie będziemy. Po wejściu okazało się, że widownia jest niemal pełna. Co ciekawe, wypełnione całkowicie były siedzenia najbliższe wyjścia, jakby widzowie na wszelki wypadek zajmowali pozycje pozwalające im na szybkie i dyskretne wycofanie się. Publiczność zróżnicowana - rozpoznaję sporo przedstawicieli miejscowej inteligencji, ale też i reprezentantów miejscowego establishmentu, co do których prawdopodobne wydają się przypuszczenia, że znaleźli się tu w ramach wypełniania "kulturalnego obowiązku". Wiek zróżnicowany - wcale nie dominuje młodzież, choć oczywiście jest nieco nasto- i dwudziestokilkulatków. Ale jest też sporo osób starszych. Dominuje jednak grupa 30-50.

Drzwi w końcu się zamykają (i to skutecznie - ktoś spóźniony szarpał przez dobrą chwilę za klamkę, ale go nie wpuszczono) i na scenę wychodzi dwóch aktorów z fujarkami. Zaraz potem rozlega się słynny "Orła cień". Ubu patrzy w niebo i po chwili zostaje ozdobiony wielką ptasią kupą, strzela w górę i spod sklepienia spada polskie godło. Nie wbija się jednak w ziemię, bo upada jakoś bokiem. Zbigniew W. Kaleta wiedziony aktorskim instynktem improwizuje podejście i poprawia orła ogrywając jego wbicie w ziemię. Zaczęło się nie najlepiej. Publika w odróżnieniu od krakowskiej nie wybucha śmiechem, czuć rezerwę.

A potem następuje coś, co obserwuję z rosnącą fascynacją. Aktorzy Starego walczą o publiczność, o jej uwagę, rozkręcając pętlę autopojetycznego sprzężenia zwrotnego tak gracko, że Erika Fischer-Lichte byłaby w siódmym niebie. Spektakl, który w Krakowie płynął w jakimś takim leniwym tempie, tu płynie niby wcale nie szybciej, ale z o wiele większą intensywnością. Sceny odwołujące się wprost do widowni wyładowane są energią posyланą ku widzom i na widzów działającą. Każda kolejna jest coraz mocniejsza, ładunek każdej kolejnej coraz większy, bo widzowie w większości tę energię odsyłają, jakby byli świadomi, że do nich wróci. Także historia Ubu, choć konsekwentnie prowadzona w rwanym rytmie z licznymi powtórzeniami i dłużyznami, funkcjonuje inaczej niż przy Starowiślnej. Niby grają to samo, ale zupełnie inaczej: Kaleta jest w swej groteskowej pysze i w groteskowym strachu porywający, a gdy przerażony intonuje papieskie "Paternoster", scena, której w Krakowie

niemal nie zauważyłem, tu wbija się jak szpila w sam środek naszego "jak trwoga to do Boga". Gdy Paulina Puślednik wciska głowę w obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, niemal autoparodystyczny koncept Klaty wybrzmiewa z całą mocą skierowanego przeciwko nam samym bluźnierstwa. Szczytem jednak jest scena walenia po głowie widzów dmuchaną bronią. W rozmowie, której zapis niedawno publikował e-teatr, Jan Kłata opowiadał, że aktorzy nie chcieli początkowo tej sceny grać, bo jak tu tak widzów bić... I jakoś byłem przekonany, że tu, w gościnie, tego nie powtórzą. A gdzie tam! Walili, ile wlezie, a widzowie jeszcze ich zachęcali. Siedząca nieco wyżej od nas młoda kobieta wskazując na swego partnera rezolutnie krzyknęła: "Jemu, jemu przylejcie!". I biedak oberwał całą serię dmuchanych ciosów bitych z taką siłą, że sufit namiotu aż huczał.

Ubu w namiocie odżył. Wyjście z bezpiecznego i oczywistego własnego miejsca, wystawienie na ryzyko spotkania z ludźmi, którzy przyjmują teatr u siebie i mogą go od siebie wyprosić, spowodowało uruchomienie może najbardziej podstawowej siły teatralnej. Tak, oczywiście - to była zabawa, ale nie w tym sensie wesołkowatym i bebechowym, tylko w tym bardzo serio i z podskórnym drżeniem, o którym kiedyś pisał Grotowski. Bawimy się i bawimy świetnie, śmiejąc w głos, bijąc brawo i podśpiewując z aktorami, ale zarazem jest w tym jakieś całkiem poważne uwolnienie, jakieś odzyskanie swobody.

Nie dla wszystkich, rzecz jasna. Widzowie wychodzili. Niektórzy chyba oburzeni, inni zniesmaczeni, inni może po prostu zirytowani bardzo głośną muzyką. Ale zdecydowana większość została i dała się porwać teatrowi, który niczego nie udając i nie chowając się za żadne bardziej lub mniej modne teorie zawalczył o widzów bez schlebiana im, ale właśnie tą walką dowodząc swojego dla nich szacunku.

Wymyślone przez Klatę szaleństwo końcowych ukłonów naładowane tym, co wytworzył w czasie przedstawienia feedback, zamienia się w prawdziwy eksces ludzi uwolnionych z ról - aktorów, którzy już skończyli grać i widzów, którzy już nie muszą siedzieć. To nie jest tylko "standing ovation", to jakiś bardzo dawny enthusiasmos, katarktyczny po arystofanejsku.

Napisać, że "Ubu" podbił Miasto, byłoby oczywiście przesadą w stylu dziennikarzy sportowych. Miasto zostało takie samo. Ale nie jest przesadą powiedzieć, że tę noc teatr z miastem wygrał. Biały miś poszybował nad Gorcami.